

Kronika 2014 – Mała Wełna i Wełna

Po raz kolejny mam przyjemność (czy "przyjemność"?) pisać kronikę. Gdyby były prowadzone jakieś zawody, to chyba miałbym pierwsze miejsce, bo to moja trzecia kronika (no może miałbym wujka Andrzeja jako poważnego konkurenta). Spis tegorocznych zmagania z kajakami powstawał dość szczególnie - nie sporządziłem notatek dla pierwszych 3 dni spływu. W związku z tym opis pierwszych dni (do poniedziałku włącznie) jest, łagodnie mówiąc, mniej szczegółowy, ale myślę że dość rzetelny. Część od wtorku została napisana na podstawie notatek - przelałem je na wersję cyfrową dość niedługo po spływie (chyba jakoś na początku września całe notatki zostały opracowane) - dokument tekstowy na komputerze pokazuje czas utworzenia na 25 lipca 2014, 11:24:34 (aż nie chce mi się wierzyć).

Prolog

I znów prolog! W zeszłym roku spływ poprzedziły okrągłe urodziny Dziadka, a teraz 11 lipca w sobotę mieliśmy przyjemność uczestniczenia w ślubie i weselu Ani i Tomka. Wybiegając nieco w przyszłość, to równo rok później mają zaplanowany ślub Aneta i Michał. Ciekawe jak ułożą się nasze przyszłe wakacje. Ślub miał miejsce w kościele w Budziszewku, a wesele było w sali w Nienawiszczu. Obie te miejscowości znajdują się nieopodal Studzińca - domu rodzinnego Ani.

sobota (12.07.2014)

Tego dnia odbywały się poprawiny. Zaczęły się dość późno, bo o ile pamiętam to około 15.00. Już wkrótce odwoziłem gości na pociąg i zegnaliśmy się z rodziną i znajomymi. Gdzieś około 18.00 przysła kolej na nas - spływowiczów. Zaczęliśmy się zbierać z sali by pojechać na biwak. Nota bene w chwili naszego odjazdu zostało już mało gości na sali i poprawiny już "dogasały".

Pojawiliśmy się na biwaku nad jeziorem Budziszewskim (jakieś 3 km od miejsca ślubu) i zaczęliśmy ogarniać nasze obozowisko. Byliśmy na ogrodzonym terenie w lesie, gdzie stały dwa drewniane domy. Jeden - większy - zawierał pokoje do wynajęcia oraz łazienki. Drugi - mniejszy - był zajmowany przez właściciela, a na jego tyle były krany do zmywania naczyń. My rozłożyliśmy



Biwak nad jeziorem Budziszewskim

swoje namioty, a właściciel podprowadził nam kabel - w pawilonie (dzięki dla teściowej Roberta!) mieliśmy podwieszoną żarówkę oraz była możliwość podładowywania telefonów - prawdziwy wypas. Dobre warunki zakwaterowania (ale może też to, że nie zrobiliśmy całej zaplanowanej trasy) sprawiły, że pozostaliśmy tutaj do końca spływu (w planach przedspływowych było przerzucenie biwaku do Nowego Młyna).

niedziela (13.07.2014)

Ten dzień był przeznaczony na odpoczynek - kajaki zostały zamówione na poniedziałek. Byliśmy więc w kościele w Budziszewku, a na obiad jedliśmy jeszcze jedzenie z wesela, w które zaopatrzyli nas Państwo Młodzi. Tego dnia przyjechali do nas Ela z Szymkiem i dziećmi. Ściągnęli rowery z samochodu i pojechali na przejażdżkę nad jezioro Czarne. O ile dobrze pamiętam to wieczorem wpadli też do nas Ania i Tomek wraz z rodzicami Ani. Był to też dzień, kiedy wybraliśmy się całą ekipą na plażę. Fajne było też to, że znalazło się dużo wolnego czasu na gry, a słońce dopisywało.

Dzisiaj niestety pożegnaliśmy się z ciotką Basią i wujkiem Grzegorzem. Okazało się, że Grzegorz musi wracać - już chyba w lipcu dowiedział się, że nie dostanie jednak urlopu.

poniedziałek (14.07.2014)

Tego dnia rozpoczęło się płynięcie. Pierwotnie dyżur obozowy miał mieć Andrzej (w niedzielę byli to Jana i Piotrek), ale z racji tego, że skończyła mu się ważność prawa jazdy na biwaku zostałem ja z Aliną (ktoś musiał pojechać jako kierowca), a reszta popłynęła. Znalazłem się wtedy w podobnej sytuacji co kiedyś mój tata, gdy organizował spływ na Bukowinie i Łupawie. Nie popłynął wtedy pierwszego dnia i potem mówiono w żartach: "wiedział co się będzie działo pierwszego dnia i dlatego nie popłynął". Wiadomo, że rzeka na początku najwyższa i będzie najtrudniej. Ale to jak ten dzień się skończył, to rekord w historii spływów.

Kajaki były zamówione późno - na 12.00 albo nawet 13.00. Z drugiej strony kilometrów teoretycznie nie było dużo (z 14?). Finalnie okazało się, że pojechałem do Kiszkowa (mety dzisiejszego etapu) chyba około 19.00. Jednak niedługo czekałem na docelowym moście, bo dostałem telefon, że ok. kilometr przed metą (jakiś most i przenoska) "zdezerterowały" Justyna i Jana. Andrzej zarządził, że płyną dalej do mostu docelowego. Podjechałem tam samochodem (dobrze, że udało mi się tam trafić) i jak podjeżdżając zobaczyłem minę Jany, to aż się



„uroki” pierwszego etapu - syf na rzece...

przestraszyłem. Na szczęście Janie szybko wrócił uśmiech i nie wypominała mi "głupoty kierowniczej". Zabrałem dziewczyny i podjechaliśmy na metę w Kiszkanie. Okazało się, że na kajaki trzeba było poczekać jeszcze godzinę, a najlepsze było to, że nie przypłynęli rzeką, tylko przeciągnęli kajaki łąką i laskiem, i stamtąd dopiero do mostu, a potem za ogrodzenie do domu przy rzece. Jako że samochód był jeden, a nas 9 osób to odesłałem Pawła i Mateusza z dziewczynami, a sam zostałem z Andrzejem, Michałem i Piotrkim. Jakie było nasze zdziwienie, gdy może po pół godzinie idąc przez miasto mijali nas samochodem

(podałem im złą drogę i pojechali ileś tam kilometrów złą trasą, a potem musieli się wrócić). Ekstra, a przecież w jedną stronę jechało się z pół godziny, jak nie lepiej bo to chyba z 35 kilometrów było.

Oczekując na transport poszliśmy do sklepu, a potem siedzieliśmy na takim a la skwerku. Andrzej położył się na ławce. Chłopaki nie wyglądali dużo lepiej. Mieli na sobie kąpielówki i jakieś koszulki. Generalnie wyglądali na bezdomnych. Potem przenieśliśmy się na schody przy ulicy. Samochód przyjechał jak już się chyba zaczęło ściemniać, a w obozie byliśmy około 22.00. "Obiad" i spać. Z tego dnia najbardziej uciążliwe były trzciny, zdechłe ryby (rzeka płynęła w okolicy stawów rybnych) oraz "glony" (zielone syf na rzece, nazwany tak przez Pawła).

Dopisek A.S. – Paweł odjeżdżając pierwszym kursem z Kiszkowa oprócz instrukcji słownej od Artura dostał też mapkę. Ponieważ Artur ręką wskazał nie tę drogę co trzeba nie dziwota, że Paweł musiał zawrócić. Na pytanie czemu nie skorzystał z otrzymanej mapki, stwierdził że wypadła przez okno i zginęła. Z tym wypadnięciem to „ptaszki ćwierkają” że w chwili natchnienia Paweł dopomógł jej wylecieć. Po co taka mapa co źle wskazuje...

wtorek (15.07.2014)

Wstaliśmy dość wcześnie jak na spływ – wyszedłem z namiotu ok. 8:30. Mateusz i Andrzej już nie spali. Niedługo też z namiotów wyłonili się inni. Dzień był w zasadzie bezdeszczowy i ładnie świeciło słońce, choć były momenty, że chowało się za chmurami. Na trasie (i potem w obozie) nie padało, jednak w tym samym czasie gdy płynęliśmy kajakami na biwaku spadł deszcz – dzień więc według statystyk był deszczowy. Dyżur miała Justyna i Aneta. Na biwaku zostali też inni (Jana z Piotrkim tego dnia wyjechali od nas. Od tego momentu zostało nas 8 osób) – do kajaków wsiadło czterech singli. W poniedziałek wieczorem ciężko było skompletować skład. Michał się zgodził i powiedział, że na niego zawsze można liczyć. Potem Andrzej, zmęczony po poprzednim dniu, ale widząc słaby odzew stwierdził że popłynię i że dziadek pokaże młodym jak to się robi. Do tej ekipy dołączył jeszcze Mateusz no i ja.

Dzisiejsza trasa była z Kiszkowa do Nadmłynna. Dzień wcześniej umówiliśmy się, że kajaki odbierzemy o 11:00. Dałem panu 20 zł za możliwość zostawienia kajaków (odpowiedział, że da wnukom) i ruszyliśmy w drogę. Było dużo trzciny (choć nie tyle ile poprzedniego dnia), ale generalnie nie płynęło się źle. Najwięcej problemów sprawił niezbyt dobry opis trasy w przewodniku od Andrzeja. Przykładowo miały być dwie przenoski, a nie spotkaliśmy na trasie żadnej (no fakt, że jeden jaz był otwarty, ale gdzie druga przenoska?). Kiedy po 2 godzinach i 40 minutach dotarliśmy do mostu, uznaliśmy że to już most przy wsi Jagniewice i 9 km już za nami (czyli lekko ponad połowa). Nie widzieliśmy jeszcze wtedy jak bardzo się myliliśmy. Kiedy dużo później dopłynęliśmy do kolejnego mostu, przy którym stał z boku przy rzece krzyż, a w oddali było widać podłużny blok/barak, Mateusza smartfon pokazał, że dopiero teraz dopływamy powoli na wysokość Jagniewic. Miałem wtedy lekką załamkę, myślę że podobnie inni. Dzwoniła też wtedy do mnie Alina z pytaniem gdzie jesteście. Finalnie do Nadmłynna dotarliśmy około 18:00, a więc zajęło nam to około 6,5 godziny. Można by ją zrobić szybciej, ale Andrzej był zmęczony wczorajszym dniem oraz ciągle doskwierającą chorobą (kłopoty żołądkowe). Trasa było generalnie łatwa – praktycznie nie wymagała techniki do przepłynięcia. Może ze dwa drzewa przez całą szerokość rzeki i do tego schowane pod wodą i nie zmuszające do opuszczenia kajaka. Oprócz tego typowe meandry oraz trochę płyczn i kamieni (głównie w lesie za mostem Glinno – Jagniewice. Tym właściwym mostem).

Trochę optymizmu weszło w nas, gdy wpłynęliśmy do lasu. Wiadomo było, że stąd jest już dość blisko, może ze 3 km. Po jakimś czasie usłyszeliśmy też psa i zaraz potem szum wody. Było to już spiętrzenie wody w Nadmłynnie. Zadzwoiłem stąd do obozu, by zawiadomić, że jesteście. Łódki wyciągnęliśmy z prawej strony i przez lekkie zarośla dociągnęliśmy do mostku. Docelowo kajaki zostawiliśmy na podwórku dużej posesji w Nadmłynnie. Wstępnie pytałem się o taką możliwość podczas objazdu. Właściciele nie wiedzieli jeszcze czy będą wtedy, kiedy będziemy spływali w wakacje. Ostatecznie wszystko się udało i mogliśmy tam przechować nasze łódki. Był też jednak i minus. Nie dostaliśmy zgody na przenoszenie kajaków przez teren posesji – musieliśmy je nieść naokoło, dopływając do mostu i stąd drogą donieść je od frontu posiadłości. Na sam koniec

płynięcia była więc dobitka w postaci niesienia kajaków 200 jak nie 300 metrów.

Po powrocie (zabrał nas, o ile dobrze pamiętam, Paweł „na raz” - płynęliśmy tylko w czwórkę) Andrzej się umył i poszedł spać. Natomiast my zjedliśmy, potwierdziłem Pani z Nadmłyna, że odbierzemy kajaki jutro do 10.00 (prosiła o to, bo później wyjeżdżała), było jeszcze ognisko i kiełbaski wieczorem i to w zasadzie tyle. Dzisiaj zacząłem też robić notatki do kroniki 2014.

środa (16.07.2014)

Wstaliśmy wcześniej ze względu na konieczność odbioru kajaków przed godziną 10:00. Umówiłem się z Panią, że o 9:00 wyjedziemy z obozu, by o wpół do dziesiątej odebrać nasze łodzie. Wyszedł nam generalnie mały poślizg i na miejscu byliśmy gdzieś za kwadrans dziesiąta, może nawet za dziesięć. Być może lekki wpływ na to miało zdarzenie, które przytrafiło mi się tuż przed wyjazdem. Otóż zatrzasnąłem się w łazience. Po wejściu tam, przekręciłem zamek, który był od zewnętrznych drzwi (na biwaku były dwie łazienki, z lewej i prawej strony, każda z osobnymi drzwiami wejściowymi. Zaraz za drzwiami był zlew i potem dwoje drzwi: jedne prowadziły do prysznic, a drugie do toalety). Niestety, potem nie mogłem się otworzyć i całe szczęście, że zaraz przyszedł jeden pan, zdaje się znajomy właściciela. Wobec tego, że nie wiedział gdzie właściciel trzyma zapasowe klucze (o ile takie w ogóle istniały) parę razy szarpnął mocno drzwiami i wyłamał zamek.

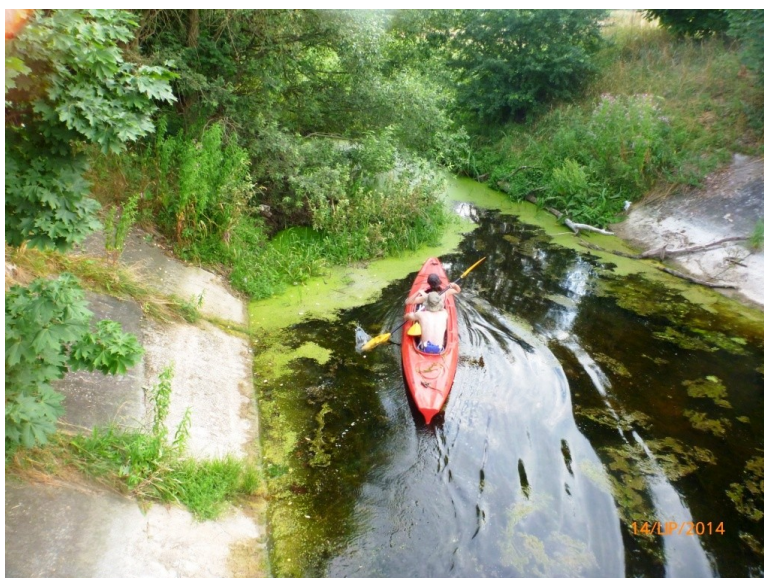
Niedługo potem kierowca Mateusz zawiózł mnie, Anetę, Michała i Pawła do Nadmłyna, po czym wrócił po Justynę. Już na początku trzeba było się trochę napracować z kajakami, zwłaszcza że zarządziłem niesienie kajaków aż do miejsca gdzie kończyło się ogrodzenie i zaczynała trawa. To samo zrobiliśmy wczoraj, bo chciałem uniknąć pretensji właścicieli posesji o zaoranie kajakami piasku przed ogrodzeniem.

W momencie gdy dołączyła do nas Justyna wsiedliśmy do wozów i faceci popłynęli singlami, a dziewczyny razem. Nie byliśmy pewnie co nas czeka. Z opowiadań właścicieli posesji spływy chodzą tutaj na wiosnę jak jest duży poziom wody i rzeka nie jest zarośnięta. Dodatkowo mówili, że 1,5 km popłyniemy, a dalej jest jaz i nie da rady płynąć dalej. Ponadto zwyczajowo spływy kończyły się właśnie w Nadmłynie. Nie było to zbyt optymistyczne, ale przewodnik opisywał tę trasę i nie mówił że nie da rady płynąć. Poza tym pocieszała mnie myśl, że jeszcze dzisiaj zdobędziemy się na wysiłek i skończymy na biwaku, a jutro zrobimy dzień przerwy (jeszcze wczoraj wobec naszego zmęczenia jak i ostrzeżeń właścicieli posesji Andrzej zastanawiał się czy nie trzeba będzie załatwić wózka, by przerzucić kajaki).

Niemniej ruszyliśmy i po około 1,5 km dopłynęliśmy do jazu. Przez ten czas rzeka była bardzo podobna do końcówki odcinka z wczoraj – płynęło się lasem, a rzeka nie była jakoś strasznie zarośnięta. Gorzej było za jazem. Nota bene ciężko było spławić kajaki ze względu na wysoki i spadzisty brzeg – zrobiliśmy to zaraz za jazem z prawej strony, gdyż nad wodą rosło drzewo i można się było złapać gałęzi. Wyglądało to mniej więcej tak, że jedna osoba z góry trzymała kajak, a druga jedną ręką trzymając się gałęzi trzymała go z dołu. Dalej płynęliśmy wśród stawów – trzciny było dość dużo, ale płynęło się znośnie. Wody też było tak w miarę ok. Po drodze minęliśmy sześć mostków i parę progów wodnych, które według przewodnika powinny być wczoraj. Był też jeden moment dość nieciekawym, bo na rzece był „syf”. Nie dało się go ominąć, wokół było pełno rzęsy wodnej i trzciny pływających w wodzie. Ponadto po każdym zanurzeniu wiosła w syfie strasznie śmierdziało. Ciężko było pokonać tę barykadę – chyba więcej użyło się do tego nóg niż rąk (i nie mówię tu o wysiadaniu z kajaka).

Po minięciu mostu drogowego (zdaje się, że ze Skoków na Glinno) i zabudowań, gdzie byliśmy na objeździe szukać miejsca do zostawienia kajaków ucieszyłem się, bo myślałem że do Skoków już blisko. Jednak rzeczywistość okazała się trochę inna, ale o tym trochę później. Od tego mostu rzeka w 80-90% była non stop zarośnięta przez te rośliny z dużymi okrągłymi liśćmi i rzęsą wodną. Potem był kolejny jaz i znów bardzo ciężko spuszczało się kajaki do wody. Było chyba nawet jeszcze wyżej i brzeg był jeszcze bardziej zarośnięty niż przy poprzednim jazie. Zaraz za nim

gęsta trzcina i strasznie brudna woda z rzęsą. Na szczęście przy przenosce z brzegu widzieliśmy most kolejowy za jakieś 200 metrów. Zaraz za nim miało być rozwidlenie rzeki. W prawo płynęła Mała Wełna, która przebiegała się przez Skoki. Natomiast ta płynąca w lewo omijała miasto. Przewodnik opisywał lewą odnogę, natomiast już zdaje się wczoraj Paweł podrzucił pomysł, że ta płynąca przez miasto będzie ładnie wykoszona, więc możemy nią spróbować. Popłynął jako pierwszy, czy raczej „popłynął”. Trzcina było tyle, że praktycznie nie było żadnego prześwitu, a po paru metrach kajaki stały – trudno było znaleźć rzekę w gęstwinie. Paweł



Taki widok był normą w górnym odcinku Małej Wełny

zaczął wykaszcać trzciny wiosłem i w końcu z lewej strony ukazało się trochę wody i ogólnie po 50 może 100 metrach od rozwidlenia dotarliśmy do jazu czy może bardziej kładki. Zaraz za nią było ładnie, ale co z tego skoro za 15 metrów widzieliśmy tylko mur z trzcina. Centralnie zero prześwitu. Przytrzymałem Pawłowi kajak, a on wszedł na kładkę by zobaczyć co przed nami. Niestety stwierdził, że do miasta jest jeszcze z kilometr. Wobec tego Justyna poszła się przejść łąką, by zobaczyć jak wygląda lewa odnoga. Po chwili wróciła z wiadomością, że jest lepiej, tylko trzeba przeciągnąć kajaki ze 150 metrów. Tak też zrobiliśmy. Idąc przez łąkę myślałem tylko, żeby nie spotkać żadnej żmiji. Z łąki widać było może z 200 metrów dalej wahadełko na remontowanej drodze Poznań – Wągrowiec. Zaraz zresztą do niej dopłynęliśmy i okazało się, że przepłynięcie pod mostem będzie niemożliwe. W poprzek była jakaś belka i zaraz dalej metalowe pręty w rzece. No trudno – znowu nosiliśmy kajaki. Ciekawe co myśleli o nas budowlańcy i kierowcy samochodów. Ludzie z budowy nawet trochę do nas zagadali. Paweł rzucił żartem: „No Panowie, objazd dla samochodów zrobiliście, ale dla kajaków to już nie”. To już była czwarta przenoska dzisiaj, a nawet piąta licząc doniesienie kajaków do wody w Nadmłynie. Na szczęście rzeka za tym mostem drogowym była szeroka i bez trzcina. Dalej jednak brudna o zielonym kolorze. Zaraz dopłynęliśmy też do jeziora (co zresztą powiedzieli nam budowlańcy). Jezioro płynęło się przyjemnie ale krótko. Nie mieliśmy problemów ze znalezieniem ujścia rzeki, która pod nazwą potoku Budziszewskiego miała niedługo spotkać się z Małą Wełną płynącą przez Skoki. Rzeka była szeroka, ale kończyła się zaraz tamą na mostku. Widoczne w nim były dwie „rury”. Popłynąłem jako pierwszy. Nie chciało mi się znowu przenosić kajaka górą, więc wyskoczyłem do wody (pływało tam akurat dużo martwych ryb) i wciągnąłem kajak do rury z lewej – każda miała może z 1,5 metra średnicy. Na dole płynęło trochę wody, akurat tyle że można było przeciągnąć kajak bez szorowania po betonie. Niestety za mostkiem w rzece było bardzo mało wody i co chwila trzeba było wysiadać z kajaka, znowu wsiadać i znowu wysiadać. Byłem już zmęczony, ale w końcu minęliśmy most na trasie Potrzezanowo-Skoki i niedługo potem wpłynęliśmy na Małą Wełnę. Można ją było poznać od razu po dużej ilości trzcina. Stąd do jeziora było już blisko i nie trzeba już było wysiadać z kajaka. Po zobaczeniu jeziora wykonałem telefon do Aliny, by zaczęli powoli podgrzewać jedzenie. Zaraz na wpłynięciu do akwenu spotkaliśmy też małżeństwo z dwójką dzieci w dużym kajaku, którzy zdaje się z lekkim niedowierzaniem powiedzieli coś w ten deseń: „to wy rzeką przypłynęliście?”. Tak, dokonaliśmy tego. Jeszcze tylko z 2 kilometry dzieliły nas od biwaku i jedzenia. Z faktu płynięcia po jeziorze skorzystali Justyna, Aneta i Michał, którzy wyskoczyli do wody by się wykapać. Na miejscu byliśmy jakoś tuż przez 17:00. Trzeba było zdobyć się na jeszcze trochę wysiłku – dzieliła nas od biwakowiska spora skarpa. Na szczęście pomógł nam Mateusz i zostawiliśmy kajaki obok naszych namiotów.

Wieczorem, tak jak dzień wcześniej były kielbaski i ognisko. Graliśmy też dzisiaj w Bang!. Warto odnotować, że chyba po raz pierwszy odkąd gram w tą grę wygrał renegat. Brawa dla Anety, która zastrzeliła na koniec mnie – szeryfa.

czwartek (17.07.2014)

Dzień odpoczynku. Za namową Śląska udaliśmy się dzisiaj do Szczecinka. Zanim wyjechaliśmy byłem jeszcze z Mateuszem w Studzieńcu po chleb i ziemniaki - gdy powiedziałem, że weźmiemy też dwa lody, Pani Marysia podarowała je nam "na koszt firmy".

Wyjechaliśmy do Szczecinka około 12.00. Wujek Andrzej został na biwaku. Staraliśmy się jechać razem, ale potem zadzwonił Mateusz i powiedział, żebyśmy jechali swoim tempem (Ja, Alina i Paweł wysforowaliśmy się do przodu). Po drodze nasza trójka zatrzymała się jeszcze w Pile - byłem zobaczyć w dwóch sklepach czy nie mają zamka patentowanego (takiego jaki wyłamany został w toalecie). W jednym sklepie był, tyle że zdaje się Gerdy i kosztował niecałe 50 zł - zdecydowałem się, że nie wezmę takiego drogiego do łazienki na biwaku. Mimo tego krótkiego odbicia z trasy pod blok na Spółdzielczej zajechaliśmy w momencie jak Śląsk wchodził do klatki schodowej.

Dostaliśmy domowy obiad (co za zmiana po spływowym jedzeniu), Inga poczęstowała nas też jagodowym ciastem - Aneta i Alina wzięły sobie na nie przepis. Potem całą ekipą poszliśmy nad jezioro (Dziadek został w domu). Mateusz dał się namówić na spróbowanie swoich sił na wyciągu nart wodnych. Szło mu jak na nowicjusza naprawdę dobrze. Już za trzecią próbą udało mu się ustać start i dojechał do pierwszego zakrętu, a za kolejną dotarł do trzeciego zakrętu. Potem jeszcze Justyna z Anetą spróbowały popływać na nartach, choć musiały się trochę naczekać, bo wyciąg (na 15-20 minut?) się zapsuł. Obie zaliczyły dwa podejścia, ale niestety nie udało im się ustać na starcie. Mimo wszystko gratulacje - ja byłem tam chyba już z trzeci raz i jeszcze nie dałem się przekonać do tych nart. Po powrocie do mieszkania zjedliśmy kolację, dostaliśmy lody, trochę pogadaliśmy i trzeba było się już zbierać - w międzyczasie zrobiła się 20.30. Ja, Alina i Paweł ruszyliśmy jako pierwsi i nie jechaliśmy konwojem - Michał Chrobok powiedział, że Citroenem z bagażnikiem dachowym ciężko się wyprzedza. Do obozu dotarliśmy około 23.00 (z tego co pamiętam, to Andrzej dzwonił do mnie przed wyjazdem ze Szczecinka i mówił że jak przyjedziemy to on może już spać, więc zostawi bramę niezamkniętą na kłódkę).

Dzień był udany, pogoda wyśmienita (zdaje się, że kolejny dzień bezdeszczowy), a szczególne powody do zadowolenia musieli mieć Natalia i Mateusz, bo udało im się spotkać.

piątek (18.07.2014)

Po wstaniu rano i ogarnięciu się wypłynęliśmy około 11.00. Plus był taki, że nie trzeba było nas nigdzie zawozić, bo startowaliśmy dzisiaj z biwaku. Minusem było zniesienie na rozgrzewkę kajaków po stromym zboczu do jeziora. Dostałem też na ten dzień od Michała kamerkę, by uwiecznić nasze zmagania na wodzie.

Trasa nie była trudna pod względem umiejętności, jak zresztą na całym spływie (no może ostatniego dnia trzeba było trochę techniki i momentami rzeka miała niezły nurt, ale o tym później). To był typowy dzień na pakowanie - z 55% trasy było po jeziorach, a na rzece nurt stał. Uciążliwości dodawało płynięcie przez nas samymi singlami (Aneta, Mateusz, Paweł i ja, chociaż ja lubię pływać singlem), mimo że kilometrów nie było jakoś strasznie dużo (może z 13).

Jezioro Budziszewskie minęło nam dość szybko i wypłynęliśmy na Małą Wełnę. Przywitały nas, a jakżeby inaczej, trzciny. W dodatku wędkarz (obok miał zacumowany kajak) co łowił przy mostku powiedział nam, że nie da się wpłynąć na jezioro Rogozińskie, bo po przepłynięciu 2 km leży drzewo. Popłynęliśmy dalej i przebijaliśmy się przez trzciniowisko, szukając prześwitów między trzcynami, ale szczęśliwie nie było aż tak hardcorowo. Po jakimś czasie faktycznie leżało drzewo (ale chyba na pewno było to krócej niż 2 kilometry), ale wystarczyło tylko przerzucić przez nie kajak.

Po wpłynięciu na jezioro Rogozińskie było do zrobienia około 6 kilometrów do tamy. Z tego co pamiętam, to wtedy, gdy byliśmy już niedaleko końca jeziora i tama była już w zasięgu wzroku Paweł podrzucił mi pomysł. Wymyślił on grę planszową - "Kajaki". Podchwyciłem ideę, podpowiadając parę pomysłów. Powstała ona jeszcze tego dnia i zdążyliśmy rozegrać partyjkę - ale o tym trochę później.

Tymczasem na tamie była przenoska. Kajaki przetrzuciliśmy pod mostem (na ruchliwej drodze Poznań-Wągrowiec) po prawej, korzystając z przepławki dla ryb. Zadzwoiłem też stamtąd do wujka (tak się wcześniej umówiliśmy), bo zostało nam z tego miejsca 3 kilometry do Rudej Młyn. Zaraz za mostem rzeka wpadała do Wełny. Było szerzej, ale za to prąd był stojący. Pojawiły się też oznaczenia na trasie - z tego co pamiętam co kilometr stała tablica, z tym że trochę nieczytelna. Zamiast zapisać dużymi literami ile jeszcze kilometrów do ujścia (jak spotykaliśmy to na innych rzekach) była zdaje się mapka powiatu z nazwą szlaku i drobnymi literami gdzieś na dole był kilometrarz.

Nie wiedziałem za bardzo gdzie mamy zostawić kajaki w Rudej. Byliśmy tam na objeździe przejazdem, ale akurat u tych Państwa nie byliśmy. Wiedziałem tylko, że to ma być zaraz z prawej za mostem na trasie nr 11 (Poznań-KołoBrzeg). Po około 300 metrach za mostem zobaczyliśmy wiaty i duży ceglany budynek oraz tabliczki "Zakaz wstępu - teren prywatny" ustawione przy wodzie. W tym momencie podjechał Michał (w międzyczasie, o ile dobrze pamiętam, kupił ten zamek od wyłamanych drzwi od łazienki w sklepie w Skokach - dopisek z listopada 2014). Cóż było robić, wysiadłem z kajaka i poszedłem szukać ludzi. Przy budynku przy stoliku siedzieli jacyś Państwo. Spytałem się czy można zostawić kajaki - Pani pozwoliła. Zostawiliśmy nasze łódki z boku zabudowania, Michał dał nam lody i po zjedzeniu pojechaliśmy na biwak. Było wcześniej, na biwaku byliśmy może o 16.00.



Tak powstawała gra „kajaki”

Warto wrócić w tym miejscu do gry pt. "Kajaki". Popołudnie i wieczór Paweł spędził na tworzeniu instrukcji i kart do gry. Pomagała mu w tym Alina. Na koniec Justyna z Anetą dołożyły do planszy szatę graficzną. Idea gry jest prosta. Grę zaczyna się z 1000 energii, batonem, wodą i piwkiem. Rzuca się kostką 6-cio ścienną i porusza szlakiem po planszy składającej się z obszarów. Są to: las, jezioro, bystrze, trzcinowisko, bagno. Jeden obszar składa się z kilku, może kilkunastu pól i ma przewidziane specjalne zasady. Przykładowo w lesie odpoczynek daje więcej energii, na jeziorze traci się więcej energii na

płynięcie, w bagnie można zgubić buty, a w trzcinowisku nie wolno wyprzedzać. W dodatku zatrzymując się na danym obszarze trzeba ciągnąć kartę zdarzenia (każdy obszar ma własny stos specjalnych kart). Generalnie zawsze się traci, była bodajże tylko jedna pozytywna karta (no i odpoczynek w lesie był na plus), a marzeniem było wyciągnięcie pustej karty (nic się wtedy nie działo). Najtrudniej było na jeziorze, a jeszcze gorsze było trzcinowisko (nie dość że zabronione wyprzedzanie, to można było wyciągnąć tutaj dwie najgorsze karty - złamanie wiosła i jeszcze jedną, której nie pamiętam). Karty były przeróżne, ale u kajarzy od razu pojawi się uśmiech, gdy usłyszą takie tytuły jak: "zwałka", "jeszcze więcej trzcin", "przypiekło Cię Słońce" czy "płyniesz z wiatrem na papę". Zauważyłem że w zasadach odbija się tegoroczny spływ. Nie było żadnej (!) karty z wydarzeniem "deszcz", a najgorsze było trzcinowisko i jezioro. Zdaje się że Aneta stwierdziła, że powinna powstać wersja "Parsęta edition". Udało się nam rozegrać jedną partię, a

zwycięzczynią została Alina.

sobota (19.07.2014)

Odcinek na dzisiaj był krótki - dopłynąć do Jaracza (około 12 km). Pierwsza grupa wyjechała jakoś krótko po 10.00. Zawiózł nas Paweł. Za mniej więcej godzinę dowiózł drugą grupę (do mnie, Justyny, Anety i Mateusza dołączył Michał i Andrzej). Zwodowaliśmy wtedy nasze łodzie, dałem Pani 20 zł za możliwość przetrzymania, a w zamian otrzymałem 4 bułki z serem domowego wypieku (Państwo obok wypożyczalni kajaków prowadzili też piekarnię z domowymi wypiekami) - na 1 kajak 1 bułkę.

Trasa była ciekawa, wymagała trochę obycia z kajakiem, ale dla nas nietrudna - dobra dla początkujących spływowiczów. Było trochę drzew, bystrzy i kamieni oraz dość szybki prąd (może oprócz ostatnich 2 km przed tamą w Jaraczu). Ale odcinek w końcu wyglądał jak trasa spływowa i dawał dużo satysfakcji z płynięcia - nie była to udręka jak na Małej Wełnie.

Niewątpliwym smaczkiem okazał się ruch na rzece. Była akurat sobota i szło mnóstwo spływów, chyba w większości jednodniowych. Praktycznie na całym odcinku kogoś spotykaliśmy. Zdecydowaną większość wyprzedziliśmy. Przypomniali nam się czasy, gdy pływaliśmy po uczęszczanych szlakach i wyprzedzaliśmy obce spływy. Wujek nawet stwierdził, że za rok przydałby się z dwa konkurencyjne spływy, żebyśmy mieli motywację.

Odcinek mijał szybko. Aczkolwiek podzieliliśmy się na dwie grupy. Justyna z Mateuszem oraz Aneta z Michałem wyrwali się do przodu, natomiast ja płynąłem z tyłu z wujkiem. Myślę, że gdyby nie trudy pierwszych dwóch dni i choroba to wujkowi szło by raźniej. Około połowy przy przenosce łądem obok zwałonego drzewa czekał na nas Śląsk. Aneta zaoferowała, że dosiadzie się do wujka. Od tej pory składy się wyrównały i już zwartą grupą 4 kajaków dopłynęliśmy do mety. Było wcześniej - około 14.00, ale szczęśliwie syn Manicza był wcześniej niż było umówione. Wszyscy oprócz mnie wzięli się do sprzątanía i zdania kajaków. Ja tymczasem poszedłem podbić książeczki. Było to trochę głupkowanie, zwłaszcza że nikogo nie zastałem - była sobota, wstęp do muzeum w Jaraczu był z tej okazji darmowy. W kasach nikogo nie było, a samo muzeum było otwarte i też nikogo z obsługi tam nie było.

Paweł w dwóch rzutach zawiózł nas do obozu. Tam oprócz Aliny czekała też już ciocia Krysia, która przyjechała odebrać wujka.

Zjedliśmy, rozliczyłem się z właścicielem za biwak, spakowaliśmy się i... tak zakończył się spływ 2014. W międzyczasie przekazałem gwizdek kierownika wujkowi. Jeszcze w 2013 na organizatora spływu 2015 wstępnie desygnowany był po mnie Michał Chrobok, ale po rozmowie z nim w piątek, ustaliliśmy, że w przyszłym roku jednak nie - mają wtedy zaplanowany ślub, szukanie chaty, pewnie pracy, pisanie prac magisterskich i wszystko z tym związane. Jak stwierdził to sam Michał: "chciałbym, ale rozsądek podpowiada że nie".



Wełna – na szlaku do Jaracza

Uczestnicy spływu:

- | | |
|---------------------|---------------------------|
| 1. Michał Chrobak | 6. Aneta Skurczak |
| 2. Mateusz Kalisz | 7. Jana Skurczak - 2 dni |
| 3. Alina Kubat | 8. Justyna Skurczak |
| 4. Artur Kubat | 9. Piotr Skurczak - 2 dni |
| 5. Andrzej Skurczak | 10. Paweł Stojanowski |

Osoby, które odwiedziły nas na spływie:

1. Elżbieta Skurczak	7. Anna Kubat
2. Szymon Jasiński	8. Tomasz Kubat
3. Malwinka Jasińska	9. Maria Kapsa
4. Bartek Jasiński	10. Leszek Kapsa
5. Barbara Skurczak	11. Krystyna Skurczak
6. Grzegorz Skurczak	12. pies

Kierownik spływu:

Artur Kubat

Liczba kajaków:

4 szt.

Kronikę miał napisać:	ktoś inny
Kronikę napisał:	Artur Kubat
Korekta i opracowanie graficzne:	Andrzej Skurczak

Poznań – lato, zima 2014 r.

Piła – zima 2014/2015 r.